

Nic nie zmieniała pani w pokoju mamy. Są te same zdjęcia z wnukami, prawnukami.

Prawnuki nie poznali już zdrowej babci. Najstarsza Paulina ma 16 lat, a babcia zachorowała, jak miała trzy. Pamiętam, jak dzieci wpadały do pokoju mamy i bawiły się pilotem od łóżka. Na dół i do góry. Dużo było śmiechu, beztroski. Albo jak mama dawała im jakieś drobne prezenty. Zawsze w szufladzie przy łóżku miała czekoladki. Nazywamy ten pokój „pokojem babci”. Tak już zostanie. **Mama odeszła pół roku temu. Po 13 latach choroby. Kiedy teraz pani o niej myśli, widzi ją pani przykuta do łóżka czy jeszcze zdrową?**

Jednak leżącą w łóżku... Kiedy patrzę na zdjęcia mamy sprzed choroby, wydają się tak odległe, nie-realne. Jest takie zdjęcie zrobione u mnie w domu na dwa tygodnie przed udarem, 26 maja, w Dzień Matki. Miałam wtedy koncert w Domu Kultury na Ursynowie. Mama pojechała ze mną. Dedykowałam jej piosenkę „Podróżą każda miłość jest”, jej ulubioną. Mama wstała, celebrowała tę chwilę. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywała. Po koncercie przyjechaliśmy do mnie. I brat zrobił to ostatnie zdjęcie. Mama siedzi w bujanym fotelu, obok bukiet róż. Jeszcze była zdrowa. Kiedy teraz patrzę na zdjęcie, mam takie dziwne wrażenie, że ona już siedzi... Wszystkie dalsze zdjęcia mamy są już tylko siedzące.

Była z nią pani aż do końca?

Zmarła 3 stycznia, Boże Narodzenie jeszcze spędziła w domu. Wigilia była u mojego brata, na drugim końcu Warszawy. Był zamówiony samochód, jak zawsze pana Marka, dostosowany do przewozu chorych na wózek. Mama była już słaba, bałam się, że może nie wytrzymać podróży. A ona tak strasznie chciała pojechać. Miała tak wielką potrzebę. Wręcz się uparła. Mama nie mówiła, ale widziałam to w wyrazie jej twarzy, oczu. W dziesiątkach niuansów.

Jakby cięła, że to ostatnia Wigilia.

Tak... Trzy godziny siedziała za stołem, uważnie na wszystkich patrzyła.

30 grudnia pojechałam na koncert. Wieczorem zadzwoniła opiekunka, że mama ma gorączkę. W sylwestra rano była już w szpitalu. Kiedy do niej jechałam, miałam głęboką wiarę, że nic złego się nie stanie. Przecież już tyle razy wydobywała się z zapalenia płuc, raz była prawie w śpiączce. W sylwestra jeszcze była przytomna. Przyjechała moja siostra z Wrocławia. Miałśmy taki rytuał od początku choroby mamy. Kiedy wychodziłyśmy od niej z pokoju, mówiłyśmy: „Dobranoc, kochana mamusiu”.

A ona odpowiadała: „Dobranoc, kochane córeczki”. Podpowiadałyśmy jej pierwsze sylaby słów, śmiałyśmy się we trzy. Taka fajna nasza gra. I tego 1 stycznia, kiedy wychodziłyśmy od mamy późnym wieczorem, rytuał się powtórzył. Mama była już pod maską tlenową, ale kontaktowa.

Wtedy ostatni raz widziała pani mamę żywą?

Nie. 2 stycznia wyjechałam znowu na koncert, stan mamy się pogorszył. Następnego dnia byli u niej brat z siostrą. Ja przyjechałam... Tak się mówi, że ktoś czeka... Kiedy weszłam do sali, mama już nie otwierała oczu, ale dała znak, poruszyła powieką. Wiem, że usłyszała. Że wiedziała, że jestem. **Jeszcze wtedy miała pani nadzieję, że z tego wyjdzie?**

Tak. Mówiłyśmy z siostrą, że może dali mamie silny środek uspokajający, bo była niespokojna w nocy. Tłumaczyłam sobie na różne sposoby, że to jeszcze nie koniec. Jechałam do szpitala z zamiarem, żeby ją zabrać do domu. Ale zobaczyłam, że to nie jest stan na przewiezienie. Mama zmarła o ósmej wieczorem, ja przyjechałam do niej o szóstej. Tym razem organizm już nie walczył. Miała 97 lat. Mam taki straszny żal, że mamy już nie ma. Ale tłumczę sobie, że może już wolała odpocząć. W ostatnich miesiącach była coraz słabsza. Wolała zostać w łóżku. Może ze dwa razy dała się wyciągnąć do ogródka. Miała coraz mniej radości z życia. **Starsze osoby często boją się uzależnienia od innych. Pamiętam, jak**



Mama powiedziała pierwsze słowo – „lato”. Jedyne... Potem stało się ono takim zamiennikiem tysięcy innych słów

moja babcia powtarzała: „Obym tylko nie była dla nikogo ciężarem”. Pani mama, kiedy jeszcze była zdrowa, też tak mówiła?

Wiele razy. Mama właściwie nigdy nie chorowała. Po śmierci taty mieszkała sama w Milanówku. Żyła pełnią życia. Lubiała spotkania z sąsiadkami, stale komuś pomagała. Była dobrym człowiekiem, niezwykle dyskretnym, wspierającym. Uwielbiała robić rodzinne przyjęcia, mnie często przywoziła pierożki, zupki. Tego dnia, kiedy zachorowała, miała mi zrobić faszerowanego kurczaka. Rano poszła jeszcze na targ. Później zobaczyłam, że listę zakupów na małej kartce robiła już drżącą ręką. Czula, że dzieje się z nią coś złego. Bo wyszła na klatkę schodową. Dlatego pomoc była tak szybko.

Mama była świadoma?

Na początku, kiedy jeszcze nie wiedzieliśmy, czy słyszy, rozumie, mówiłam: „Mamusiu, jak słyszysz, ściśnij rękę”. Szybko się okazało, że wszystko rozumie, kojarzy. Przez pierwszy miesiąc była w szpitalu w Warszawie. A później znaleźliśmy ośrodek opiekuńczo-rehabilitacyjny

Mama Alicji Majewskiej Anna zmarła po długiej chorobie 2 stycznia 2011 r. Na zdjęciu (z lewej) z córkami Ewą i Alicją w lipcu 2009 r. i w swoje 92. urodziny, pięć lat przed śmiercią, z prawnukami Anią i Wojtusiem (z prawej)



we Wrocławiu. Tam mieszkaly moja siostra i siostra mamy. Codziennie mógł ją ktoś odwiedzać. Pamiętam, jak pierwszy raz zaprowadziłyśmy mamę na wózek do ogrodu botanicznego. Zawsze była bardzo ciekawa świata, a wtedy właściwie na nic nie reagowała. Siedziała nieporuszona, kompletnie odcięta emocjonalnie. Jaki to musiał być straszny szok dla niej. Nie chodziła, nie mówiła. A wiedziała, co się dzieje. Po ośmiu miesiącach pojawiła się artykulacja typu „a”. Mama powiedziała pierwsze słowo - „lato”. Jedynie... Potem stało się ono takim zamiennikiem tysięcy innych słów. Wyrażała nim wszystko. Sygnalizowała swoje potrzeby.

Kiedyś poszłam z mamą do parku. Był taki piękny słoneczny dzień. W pewnej chwili usłyszałam: „Zostań zawsze”. To się raz pojawiło. Powiedziała pełne zdanie, bardzo wyrażnie.

Zostań zawsze... przy mnie...

Mama, kiedy była zdrowa, często do mnie przyjeżdżała. Po dwóch latach, kiedy niestety, nie było żadnych efektów rehabilitacji, siostra ze szwagrem wzięli ją z ośrodka do

siebie. Miałam taką przykrą refleksję, że mama już nigdy nie będzie w moim domu. I postanowiłam spróbować. Nie wiedziałam, czy uda mi się wszystko dobrze zorganizować. Krysia Sienkiewicz powiedziała mi o Ukraince Oldze, pierwszej opiekunce, która z nami zamieszkała. Pomyślałam, że mama u mnie będzie się najbardziej swobodnie czuła. Byłyśmy tylko ja, ona i opiekunka.

Pamięta pani pierwszy dzień mamy u siebie w domu?

Jechaliśmy z Wrocławia w trzy samochody. Cała rodzina pomagała. Jedni wzięli łóżko, drudzy wózek. A mama jechała ze szwagrem, na przednim siedzeniu. Cały czas patrzyła przez okno, rozglądała się po świecie. Doskonale zniosła podróż. Widziałam, że w domu przez pierwsze dni była oszołomiona. Jak się pani z mamą porozumiewała?

Poprzez wycucie tego, czego by chciała. Mama mówiła w swoim narzeczu, mimiką starała się przekazać, o co chodzi. Ja pytałam, naprowadzałam, usiłowałam zgadnąć. Zaczynałam mówić jakieś słowo,

a mama kończyła. Mówiłam: „Mamusiu, prezydent Polski Kwa...”, a mama dopowiadała „śniewski”. Bardzo utkwiała mi jedna sytuacja. Nie wiem jak, ale wreszcie doszłam, że mamie chodzi o sernik. Żeby odkroić kawałek i dać wnucze. I jak już wpadłam na ten trop, zobaczyłam u mamy taką wielką ulgę. Na początku choroby siostra powiedziała: „Najważniejsze, żeby mama chodziła”. A ja już wtedy czułam - najważniejsze, żeby mówiła. Proszę sobie wyobrazić, że pani wszystko rozumie, a nie może nic powiedzieć, o nic poprosić, dać znać, że coś boli, podzielić się swoimi emocjami, wrażeniami.

Straszna musi być taka bezsilność. I chorego, i opiekuna.

To było najtrudniejsze. Kiedy mama coś usiłowała powiedzieć, o coś poprosić i nie udawało się dojść, o co chodzi, czasem mówiłam: „Mamusiu, trudno, dziś do tego już nie dojdziemy. Spróbujemy jutro”. A mama machała wtedy ręką.

Jak mama znosiła to, że jest we wszystkim zależna od innych?

Nikt nie wie, co się dzieje w mózgu człowieka z afazją. Można się tyl-

ko domyślać. Wiele razy stawiałam się w jej sytuacji - jak bym się czuła wtedy. Pewnie do pewnych sytuacji się przywyka. Ale to, że ktoś mnie myje, że mam pampersy... Ta zależność od drugiej osoby. Nawet gdyby człowiek chciał skończyć z życiem, nie byłby w stanie ani o tym powiedzieć, ani tego wykonać. Nie, do tego chyba się nie przywyka.

Myszę, ile trzeba delikatności, żeby tej chorej osoby nie upokorzyć.

To już wrażliwość każdego z nas. Tę sytuację trzeba po prostu czuć. Widzieć w tym sparaliżowanym, niemówiącym człowieku dalej tego samego człowieka. Nie bać się go. Nie wszyscy to potrafią. Mama mojej bratowej od początku siadała przy mamie i coś jej opowiadała, o coś pytała. A były panie, świetne kobiety, koleżanki mamy z Milanówka, które przy mamie do mnie mówiły: „Pani Alu, ale czy Hania to rozumie?”. Odpowiadałam: „A to niech pani zapyta mamę”.

Mama zmieniła się?

Nie, w ogóle. Jeżeli wszystko było w porządku, nie nie bolało, mama była bardzo przyjazna, pogodna. Jak chciała komuś okazać szczegól-

na wdzięczność, brała za rękę i całowała.

Uśmiechała się?

Nawet głośno się śmiała. Bardzo emocjonalnie reagowała na Włodka Korcza, który zawsze starał się ją rozbawić. Kiedy ktoś do mnie przychodził, pilnowałam, żeby zajrzał też do mamy. Po próbach u mnie na górce schodziliśmy z Włodkiem i Zbyszkiem Wodeckim, żeby przy łóżku zaśpiewać mamie koledy. A z ciocią Alinką, siostrą mamy, śpiewaliśmy przedwojenne piosenki. Mama starała się śpiewać z nami. Lubiała czytać gazety. Mocno przeżywała wszystkie moje występy w telewizji.

26 lipca robiliśmy imieniny Anny. Przyjeżdżała cała rodzina. Proszę popatrzeć na te zdjęcia - latem jemy w ogrodzie śniadanie. A tu mama w słomkowym kapeluszu. Zawsze jak wracałam z koncertów, najpierw szłam do mamy, pokazywałam kwiaty, coś jadłyśmy i opowiadałam.

Jedzenie nadal sprawiało jej przyjemność?

Ależ oczywiście. Celebrowaliśmy nasze drinki po wieczornych koncertach. Mama lubiła wyłączyć „wódke Witka”, nalewkę, którą przywoził brat. Kiedy jeszcze była we Wrocławiu, siostra zabierała ją na Rynek. Któregoś dnia w słynnym Spiżu zamówiła piwo i chleb ze smalcem. Mama była zachwycona. Wypiła piwo i zjadła chleb łącznie ze skórkami, które kiedyś zawsze skrupulatnie odkrawała.

Mimo wszystko była szczęśliwa?

Jestem głęboko przekonana, że mimo wszystko była. Kiedyś, przez krótki czas, opiekunką była pani od opieki paliatywnej. Po jakiejś „rozmowie” z mamą zdumiona powiedziała: „Pani Alicjo, ale pani mama chce żyć”. Mama bardzo lubiła różne sytuacje towarzyskie. Nie było jej obojętne, w co się ubierze. W święta zawsze wchodziłyśmy z siostrą do garderoby i wybierałyśmy strój. Mama na jeden się godziła, przeciw innemu protestowała.

Mama kilka razy była w stanie krytycznym. Zadawała sobie pani

wtedy pytanie: czy warto ratować za wszelką cenę?

Było kilka dramatycznych pobytów w szpitalu. Raz mama zakrztusiła się kapsułką z antybiotykiem. Proszek rozsypał się w oskrzelach. Rurki, wenflony, wbijanie w żyły, bronchoskopia. Cierpienie... Z lekarzem mamy kiedyś powiedzieliśmy: „Warto ratować, ale na pewno nie za wszelką cenę, nie kosztem męczenia”. Kiedyś było tak drastycznie, że już nie jadła, nie piła. Był pomysł, żeby wprowadzić sondę żołądkową. Powiedzieliśmy z bratem, że absolutnie się nie zgadzamy. Jakimś cudem mama z tego wyszła.

Pobyty w szpitalu zawsze były bardzo trudne. Kiedyś w ferworze zapomniałam zawieźć materac przeciwoleżynowy. I odległyny był już po pierwszym dniu. Nie mogę zrozumieć, jak może nie być takich materacy w każdym szpitalu! To jest nie tylko problem cierpienia człowieka, ale przecież koszty leczenia od razu są dużo większe.

Można przyzwyczaić się do cierpienia najbliższej osoby?

Nie. Można to uznać, ale nie przyzwyczaić się. Każde wyjście z pokoju mamy, każde... Czy w dzień, czy wieczorem, czy w szpitalu. Świadomość, że zostaje na jednym boku. Jak nikt jej nie przewróci, to sama tego nie robi.

Miała pani takie wrażenie, że opieka nad mamą wywróciła pani życie?

Zmieniła. Ale odbieram to jako coś bardzo pozytywnego. Kiedyś to mamie nawet powiedziałam. Że nasze życie ma sens i wartość wtedy, kiedy możemy komuś pomóc. Broń Boże nigdy, ani przez chwilę, nie czułam, że się poświęcam, że to mój obowiązek. Kiedyś szwagier powiedział, że tak nas obserwuje, mnie i siostrę, od lat, i nigdy nie usłyszał z naszej strony zniecierpliwienia.

A były takie momenty, kiedy czuła pani, że nie daje rady emocjonalnie?

Ale niezwiązane z mamą, tylko z opiekunkami. Kiedyś jedna z pań nagle mi zakomunikowała, że za kil-

Znam przypadek psychologów, która całe życie była przez matkę tłamszona, niszczone. Córka jej nie kochała. I potem, kiedy mama ciężko zachorowała i wymagała opieki, ta córka nie miała jej z czego oddać dobrych emocji

ka dni odchodzi. Ktoś nawalił, ktoś się do tej pracy nie nadawał. Ale to było kilka „awarii” na 12 lat. Tak naprawdę miałam ogromne szczęście do odpowiedzialnych opiekunek, takich z powołania. Do końca życia będę wdzięczna Żeni i pani Danusi.

I co jeszcze jest bardzo ważne - że nigdy nie czułam się sama. Jakakolwiek kryzysowa sytuacja, natychmiast przyjeżdżała siostra z Wrocławia, był brat, bratowa. Moja rodzina zawsze się wspierała. Tak było zresztą w rodzinach mojej mamy i ojca. Pamiętam, jak młodsza siostra mamy skończyła studia stomatologiczne i wszyscy bliscy składali się na jej gabinet. Jedną z moich koleżanek przez rok opiekowała się chorą mamą w domu. Sama. Nie dała rady. Kiedy umieściła ją w hospicjum, powiedziała mi: „Obie odetchnęłyśmy”. 70 proc. opiekunów już po roku wypala się psychicznie. I sami potrzebują pomocy.

To jest opieka przez całą dobę. Bywało, że w nocy wielokrotnie trzeba było do mamy wstawać. Byłam ją w stanie nakarmić, zmienić pampersa. Ale już podnieść wyżej na łóżku, przenieść na wózek czy wykopać nie dałabym rady. Wielokrotnie myślałam, że opiekunkom jest znacznie trudniej niż mnie. Starałam się, żeby panie czuły się w moim domu jak najlepiej i oddały to mamie. Mnie było łatwiej, bo zajmowały mnie też inne sprawy. Ceniłam sobie każdy moment wyjazdu na koncert. Miałam część innego świata.

Nie można się w takiej opiece zatracić.

Jeżeli tylko jest na to szansa. Obserwowałam ludzi, którzy nie mieli cienia możliwości, żeby opiekować się rodzicem w domu. Bo mieszkali w bloku na trzecim piętrze w dwóch pokojach z dziećmi. To jest wielki dramat. Udary, wylewy diametralnie zmieniają życie chorego i rodziny.

Obserwowałam opiekę nad sparaliżowaną mamą dwóch córek. Nie chciały oddać jej do domu opieki, „bo co ludzie powiedzą”. A ja widziałam narastające znie-

cierpliwienie, wręcz niechęć wobec chorej matki.

Ta matka na pewno czuła emocje córek. Każdy przypadek jest inny. Bywa, że dzieci wcześniej niewiele otrzymują od rodziców.

Znam przypadek psycholożki, która całe życie była przez matkę tłamszona, niszczona. Córką jej nie kochała. I potem, kiedy mama ciężko zachorowała i wymagała opieki, ta córka nie miała jej z czego oddać dobrych emocji. Bo między nimi nigdy nie było miłości.

Ale są też ludzie, którzy bardzo kochają swoich rodziców, a nie potrafią obcować z cierpieniem. Albo nie dają już rady. Żona mojego znajomego choruje na alzheimera. On strasznie długo opiekował się nią w domu. Aż do momentu, kiedy stała się bardzo niespokojna, agresywna. Teraz jest w domu opieki. Mąż niemal cały czas przy niej

jest. Wiem, że ma wyrzuty, że ją oddał.

I co zrobić z takimi wyrzutami? Żyjemy coraz dłużej i coraz więcej z nas stanie przed dylematem: opiekować się rodzicem, żoną albo mężem w domu czy umieścić w domu opieki.

Trzeba sobie szczerze, uczciwie odpowiedzieć na kilka pytań. Co jest najlepsze dla bliskiej mi osoby i co ja jestem w stanie zrobić. Jakie mam warunki finansowe, mieszkaniowe. Rodzinny dom, jeżeli to tylko możliwe, na pewno jest optymalny. Jest dziecko, syn, synowa i jest chora babcia. Toczy się normalne życie.

Jak mama była w tym ośrodku, kiedyś popatrzyłam na chorych wywiezionych do parku. Stało kilkanaście wózków. Skomasowane nieszczęście. Strasznie smutne to było. Ale możemy być w domu opie-

ki, a czuć, że ktoś nas kocha, myśli o nas, jesteśmy dla niego ważni. Najważniejsza jest miłość. A jak miłości nie ma, to powinna być zwykła ludzka przyzwoitość. Takie wychylenie się - w czym ulżyć temu drugiemu, choremu człowiekowi.

Brakuje pani tego łóżka z mamą?

Bardzo. Najbardziej dojmujące jest poczucie, że nie jestem już niezbędna. To egoistyczne, ale... Myślę, że każdy, kto był w takiej sytuacji jak ja, odczuwa po śmierci straszny dół. Pustka. Byłam niezbędna. Pomaga mi myślenie, że mama już była zmęczona.

Coś sobie pani wyrzuca?

Chciałam, żeby mama odchodziła w domu.

To były smutne lata?

Nie, nie, nie. Nigdy tak nie pomyślałam. Były ciężkie momenty, ale bycie z mamą na co dzień było czymś fantastycznym. To jej cze-

kanie na mnie... Kiedy wyjeżdżałam na koncerty i dzwoniłam do mamy, opiekunka trzymała jej przy uchu słuchawkę. Ja opowiadałam, a z drugiej strony słyszałam: „Lato, lato”... Do końca życia zapamiętam wieczory, kiedy pani Danusia robiła sałatki, drinki. Siedzimy razem przy łóżku, coś mamie opowiadam. Brakuje mi tych momentów. Pamiętam mamę jako osobę, która żyła do końca. Tak, żyła, nie wegetowała. I tak myślę, że gdyby mama była zdrowa, to nigdy nie otrzymałaby ode mnie takiej miłości.

Myśli pani o własnej starości? Nie ma pani dzieci...

Czasem myślę, co by było, gdyby mnie to spotkało. Jestem głęboko przekonana, że nie byłabym sama. Że są ludzie, którym nie byłoby obojętne, co się ze mną dzieje. Wierzę, że jeżeli komuś coś z siebie dajemy, potem to do nas wraca. ■